

Dariusz Kosiński

## **Off the Best - (nie)orędzie na 27 marca**

Zorganizowany po raz pierwszy przez "Nietakt!" i teatralny.pl konkurs "The Best Off" to wspaniała lekcja i przygoda, ale też i nie lada kłopot. Ponad 220 zgłoszeń i przyprawiająca o zawrót głowy różnorodność. To się nie mogło skończyć dobrze - pisze Dariusz Kosiński.

Na udział w konkursowym jury zgodziłem się jak zwykle bez namysłu, choć jak zwykle namyślić się było trzeba. Ale Katarzyna Knychalska, która to całe zamieszanie wymyśliła, zakładała optymistycznie, że zgłosi się może sto przedstawień. Na dodatek w pierwszym etapie mieliśmy je oglądać na wideo, więc rzecz nie wyglądała zbyt strasznie. W jury, poza Kasią i mną, Piotr Cieplak, Marcin Kęszycki i Piotr Olkusz, więc towarzystwo zacne, choć może zbyt męskie, zwłaszcza jak na liczbę kobiet działających w offie i kobiecych spektakli, które przyszło nam obejrzeć. W każdym razie zapowiadała się niezła przygoda. A że w roku ubiegłym w Instytucie Teatralnym prowadziliśmy nieformalne seminarium o polskim offie i co chwila nadziewaliśmy się na wątpliwości, czy wiemy, o czym tak naprawdę mówimy (bo przecież nikt nie oglądał wszystkiego), to uznałem, że konkurs jest wyjątkową okazją, by swoje fragmentaryczne wyobrażenia skonfrontować z reprezentacją najnowszej rzeczywistości. Jednym słowem: sam tego chciałem.

Początki były miłe. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, by ustalić zasady współpracy, na liście zgłoszonych przedstawień nie było nawet pięćdziesięciu tytułów. Kasia była zaniepokojona, ale nadrabiała miną, twierdząc, że na pewno większość zgłosi się w ostatniej chwili. I wykrakała. Tydzień później liczba zgłoszeń przekroczyła dwieście i wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, w cośmy wdepnęli. Zgodnie z regulaminem na obejrzenie przedstawień mieliśmy nieco ponad miesiąc, więc niby można było dać radę. Licząc, że przedstawienie przeciętnie trwa około godziny i kilkunastu minut, mieliśmy jakieś 250 godzin oglądania, lekko ponad dziesięć (excusez le mot) dób. No, ale nikt nie jest w stanie tyle obejrzeć bez przerwy, a przecież każdy miał jeszcze inne rzeczy do zrobienia (Piotr Cieplak na przykład miał - bagatela! - premierę "Ułanów"). Zapowiadała się niezła jazda.

I była! Codziennie kilka spektakli, jeden niepodobny do drugiego. Zmienność stylów, konwencji, języków, gatunków - oszałamiająca. Od tańca i jego teatru po projekty partycypacyjne, od niemal bulwarowych inscenizacji kameralnych dramatów po niedramatyczne przedstawienia mieszające sceniczne języki w mikstury o sile absyntu, od amatorskich prób wypowiedzenia swojej wiedzy o świecie po znanych profesjonalistów, którym mimo wysokich gaź z reklam najwyraźniej czegoś brakuje. Nie ma wątpliwości: teatr offowy to dziś w Polsce wszystko, co się za taki uważa, łącznie z bardzo komercyjnymi teatrami prywatnymi. Albo też - by zastosować kryterium ekonomiczno-organizacyjne - wszystko, co nie otrzymuje stałej budżetowej dotacji na działalność. Wspomnienia z heroicznych czasów teatrów studenckich i budowane na nich wyobrażenia czas odłożyć na półkę z materiałami historycznymi.

Organizatorzy konkursu świadomie nie przyjęli żadnej wyjściowej, twardej definicji offu odwołującej się do jakichś wyznaczników artystycznych. Chodziło właśnie o to, by dzięki otwartej formule konkursu niejako sprawdzić, czym teatr offowy realnie jest dziś w Polsce. Definicję offu trudno zresztą sformułować. Spróbowaliśmy tego na użytek programu finansowania działalności niezależnej "Off Polska", który czeka w Ministerstwie Kultury na zielone światło i środki finansowe. Ale nawet tam nie odważyliśmy się opisać w jakiejś formule całego offu, tylko pisaliśmy o teatrach niezależnych (grupy "działające poza teatrami instytucjonalnymi, które realizują własne, autorskie projekty artystyczne i społeczne, oraz samorządnie

kształtują swoją drogę twórczą, intensywność i sposoby działania") oraz alternatywnych (grupy "prowadzące poszukiwania artystyczne o charakterze eksperymentalnym i innowacyjnym"), dodając, że oba typy zespołów powinny też wpisywać "swoją działalność w kontekst społeczny, w którym funkcjonują". Większość zespołów zgłoszonych do konkursu jedną lub drugą definicję spełniała, ale były też takie (i było ich wcale nie mało), które w żadnej się nie mieściły.

Myliłby się jednak ktoś, kto uznałby, że off jako kategoria opisowa nie spełnia swojej funkcji. Nawet jeśli jest tylko bardzo ogólnym wskaźnikiem, pozwala się rozpoznać i odnaleźć tym, którzy starają się myśleć o sobie i swoim teatrze poważniej, odruchowo nie godząc się na markę "amatorów". I wcale nie chodzi tu, jak sądzę, o ucieczkę przed oznaczeniem podważającym jakość pracy, ale raczej o to, że ludzie teatralnego offu nie działają w nim dlatego, że są miłośnikami teatru. Pewnie nimi są (choć czasem o teatrze wypowiadają się z ironią i przekąsem), ale swoją pracę, wymagającą często wiele trudu, zdają się traktować raczej jako sposób na wypowiedzenie siebie, swojego myślenia i odczuwania świata. Ta formuła - dość banalna, przyznaję - to w sumie tylko kryptonim całego bogactwa potrzeb, pragnień i motywacji, wśród których na pewno jest "robię, bo lubię". Ale nie wydaje mi się, by to ostatnie wystarczało dla wyjaśnienia samozaparcia, jakiego wymaga robienie teatru, który nie daje tego, co współczesny świat nazywa sukcesem. I nie jest chyba przypadkiem, że tak wiele przedstawień opowiada o porażkach, także teatralnych, o ludziach, którym się na różne sposoby nie udało.

Patrzyłem na kolejne przedstawienia z rosnącym zdumieniem. Często to, co widziałem, wydawało mi się wprost niewiarygodne, zdecydowanie rzadziej dlatego, że było tak złe, częściej, o wiele częściej - bo było tak dobre, tak zaskakujące, tak na różne sposoby przekonujące, wciągające, wzruszające. I na bardzo wysokim poziomie rzemieślniczym i artystycznym. Lista przedstawień, które zaznaczałem jako moje kandydaty do finału rosła i już w połowie stawki przekraczała liczbę dwudziestu, które regulaminowo mieliśmy wybrać.

Więc jasne, że to się nie mogło skończyć dobrze. Wybrane do finału dwadzieścia jeden przedstawień to efekt dyskusji, przetargów, kompromisów, chwil słabości i chwil wzmożenia. Nasze decyzyjne spotkanie trwało osiem godzin a pod koniec chyba wszyscy mieliśmy poczucie, że dla jakiej takiej satysfakcji trzeba by mieć co najmniej jeszcze jedną dwudziestkę. Nie ukrywam: kilkoro bardzo moich mocnych kandydatów przepadło, bo byli tylko moimi, albo też wspierał ich co najwyżej jeden głos. Niby mówi się trudno, ale nie mogę się pozbyć poczucia winy, że jednak nie zaważyłem mocniej o niezwykle oryginalne "Kto się boi Sybilli Thompson" grupy Teraz Polisz, "Znak Jonasza" Nettheatre, czy "Matka Courage" krzyczy Układu Formalnego. Że nie udało się przekonać innych do "Szatni" Przebudzonych, "Spisu kobiet" Kolektywu Polka czy "Snów Marii Dunin" Alelal (że też dziewczyny nie zgłosiły się z tym na "Klasykę Żywą!"). No i że tylko mnie zamurowała śląska ceremonia żałobna w "Kopidole" Teatru Naumionego. Nie żeby te spóźnione pojękiwania i usprawiedliwienia miały znaczyć, że w wybranej stawce finałowej są rzeczy, na które się nie zgadzam. Tylko, że to te niewybrane, kłują. To one sprawiły, że po ustaleniu werdyktu pierwszego etapu siedzieliśmy bez radości, zmęczeni, może nawet z poczuciem jakiejś porażki.

Mimo wszystko nie żałuję, że zgodziłem się na udział w pracach jury. Wprost przeciwnie! Bez tego nigdy bym się nie przekonał, jak żywy jest polski teatr, jak różnorodny i jakie w nim buzują energie. Pewnie jest przesadą ukute kiedyś stwierdzenie, że więcej ludzi chce w Polsce robić teatr, niż go oglądać, ale nie wydaje się przesadą powiedzenie, że energia tych pierwszych wielokrotnie przewyższa energię tych drugich.

"Chcemy całego życia!" wrzeszczą z dodatkiem słów niecenzuralnych aktorki ze "Spisu kobiet", a okrzyk ten ma moc przeganiania skapcianałych bezradności wiejących w tym sezonie z "repu".

Więc Drogie Niewybrane i Drodzy Niewybrani, Wybaczenie jeśli nasz werdykt zrodzony z regulaminowej niewoli wyboru, kogoś przygasił, przytłumił czyjąś chęć robienia teatru. Mam nadzieję, że było tak tylko na chwilę. Nie dajcie się osłabić takim werdyktom. Lepiej już się wścieknijcie i nawrzeszczcie na nas lub nas wyśmiejcie kolejnym przedstawieniem. Dajcie nam popalić, bo bez tego tylko "K." w trupa i kamieni lupa.

Dariusz Kosiński  
Materiał własny  
26-03-2018